

Od wczesnej wiosny 1939 roku przygotowywałam się do egzaminu do szkoły średniej; było to moje wymarzone Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki w Łucku/załączam fotografię budynku/. Egzamin zapowiadał się trudny, konkurencja bowiem była bardzo duża, ponieważ była to szkoła państwowa, w której chesne było niższe niż w szkole prywatnej.

Najpierw jednak należało ukończyć szkołę podstawową. Uczęszczałam do 6-tej klasy Szkoły Powsz. im. Królowej Jadwigi w Łucku. W pamięci mojej pozostały zaledwie sylwetki 3 nauczycieli: pana Walczaka- naucz. geografii, pani Wysokińskiej - naucz. gimnastyki i ks. Krejczego. Pamiętam również bardzo energiczną i sympatyczną Panią Kierowniczkę oraz ułożoną przez nią piosenkę, którą śpiewaliśmy na uroczystym zakończeniu roku szk. 1938/39 w Łucku.

Łuck nad Styrem nasz,
to Wołynia straż.
To przepiękna dziejów karta,
Grocu i zмку Lubarta.
Jeśliś nie był tu,
pośpiesz ile tchu.
Oglądniemy murów szczątki,
stare cerkwie i pamiątki,
nowych gmachów rój.

Szkola zajmowała 2 duże, parterowe budynki usytuowane w pobliżu dużej prawosławnej cerkwi w centrum miasta. Do cerkwi zachodziłam dość często z moją koleżanką Tamarą. Przyjaźniłam się również z kol. Alim, który był Turkiem wyznania muzułmańskiego, a jego ojciec był właścicielem piekarni, gdzie kupowaliśmy pyszną chleb turecki. Uczęszczała też do naszej klasy żydówka Docia i dwoje rodzeństwa wyznania ewngelickiego, których imion już nie pamiętam. Szkoła jak widać była wielonarodowościowa, ale wszyscy żyliśmy w zgodzie, a nawet lubiliśmy się, chociaż większość była wyznania rzymsko-katol. i inowiercy wychodzili z lekcji religii. Ksiądz Krejczy był bardzo gorliwy i wymagający. Lekcje religii były bardzo urozmaicone, a każdej niedzieli młodzież szkolna zbierała się obowiązkowo o godz. 8³⁰ w szkole i czwórkami, grzecznie w granatowych mundurkach udawaliśmy się na godz. 9-tą na mszę dla młodzieży do Katedry w Łucku. Tam też przystąpiłam do Komunii Sw. w sukni litrgicznej / długiej, z białego płótna, przepasanej sznurem, bez welonu/ w/g życzenia ks. Krejczy. Co się z nim stało, był młody i b. odważny. Jaki los spotkał innych nauczycieli. Nie wiem.

Najbardziej przyjaźniłam się z kilkoma koleżankami, do których należała Kryśka Chojecja, córka majora W.P./wywieziona prawdopodobnie wraz z matką do Zw. Radz./, Maryśka Lisowska-ziemianka, w której majątku spędziłam kiedyś część wakacji na Wołyniu, podobnie jak

u innej koleżanki, również ziemianki Dudy Zapolskiej w maj. Roszczyce! Moją koleżanką była również Dziunia Orłowska, którą spotkałam po wojnie we Wrocławiu jako studentkę. Tam też spotkałam jako studentów moich kolegów z klasy : Witka Maciejewskiego i Władka Sikorskiego. Ja również rozpoczęłam studia na Uniw. Wrocławskim. Kiedyś w pociągu, natknęłam się na jeszcze jednego kol. Danką Chrzanowskiego. I tak wojna rozproszyła nas po świecie, a wielu pewnie jej nie przeżyło.

Egzamin do Gimnazjum zdałam z wynikiem b. dobrym i zostałam przyjęta do szkoły, co skropiłam łzami szczęścia, tak mocno ten fakt przeżyłam. Dostałam upragniony mundur gimnazjalny: granatowa sódniczka układana w fałdy, do tego bluzka granatowa z niebieskimi wypustkami i z niebieską tarczą, szare pończochy i skórzane, też granatowe kapcie. Niestety nie dane mi było chodzić w tym mundurku.

Gdy 1-go września wybuchła wojna, sądziliśmy, że nie prędko do nas dotrze, ponieważ mieszkaliśmy daleko od linii frontu, ale już w kilka dni dotarły do Łucka wraz z uciekinierami pierwsze samoloty - bombowce niemieckie i bombardowały miasto, lotnisko i inne obiekty wojskowe. Przesiedziałam kilka dni wraz z matką i siostrą w schronie znajdującym się w piwnicy naszego bloku, który chwiał się od wybuchu bomb, bo mieszkaliśmy w pobliżu lotniska, które było głównym celem ataków bombowych. Po kilku dniach ojciec mój, który był w wojsku, zorganizował nam wyjazd na wieś, gdzie miało być bezpieczniej. Zamieszkaliśmy u dość bogatej rodziny wiejskiej, a ojciec nas pożegnał i pojechał na wojnę. Zaraz na drugi dzień po przyjeździe usłyszeliśmy straszny lament na podwórzu, okazało się, że przywieziono na furmance zamordowanego w lesie przez Ukraińców młodego syna gospodarzy. Sytuacja stawała się dla Polaków niebezpieczna. Tymczasem mimo zabranych ze sobą zapasów żywności i mimo gościnności gospodarzy zaczęło nam czegoś brakować i zostałam wysłana przez mamę do sklepu w pobliskiej wsi. W połowie drogi usłyszałam warkot samolotu, który leciał dość nisko, gdy podniosłam głowę, spostrzegłam ze zdziwieniem czerwoną gwiazdę. Było to 17 września 1939 roku.

Byliśmy przerażeni zaistniałą sytuacją; znaleźliśmy się w potrzebie. Postanowiliśmy szybko wracać do Łucka na wynajętej furmance. Od Pańskiej Doliny / tak nazywała się wieś, gdzie znaleźliśmy schronienie / do głównej szosy jechaliśmy samotnie, dalej już do Łucka w asyście wojsk radzieckich. Nasze mieszkanie w bloku zajęli tymczasem Rosjanie i kazali nam się wynosić, pozwalając na szczęście zabrać trochę rzeczy. Po gorączkowych poszukiwaniach mama znalazła jakieś małe locum w drewnianym małym domku na przedmieściu Łucka przy ul. Solnej. Było nam tam bardzo ciasno, bo w 2 małych pokojach zamieszkał 2 rodziny. Mieszkała z nami p. Kotomska z synem i psem.

Ojciec mój tymczasem opuścił wraz z wojskiem Polskę, i przez Karpaty dostał się na Węgry gdzie został internowany w obozie. Po jakimś czasie otrzymałyśmy od niego list. Stałyśmy się teraz dla władz podejrzane; traktowano nas jak szpiegów/"szpiony"/, nawiązujących kontakty za-granicą. Zaczęli nas nachodzić NKWDziści o różnej porze dnia i nocy, robili wywiady, a my domyślałyśmy się co nas czeka i oczekiwałyśmy na wywóz w głąb ZSRR.

Próbowałam się początkowo uczyć. Zaczęłam nawet uczęszczać do szkoły; 10-latki, która mieściła się w budynku dawnego Gimnazjum ale była to już ~~inna~~ szkoła radziecka, obowiązywał jęz.rosyjski, którego nie znałam, a kaptcie i mundurki przestały obowiązywać. Szybko się zniechęciłam i przestałam uczęszczać, zresztą trzeba było wystawać na zmianę w kolejkach po chleb. Cukier zastępowała nam melasa uzyskiwaną z wygotowywanych buraków cukrowych, przynoszonych ukradkiem z przydm przydworcowych. Mydło przynosiły Rosjanki wzamian za różne rzeczy /porcelanę, sztucce, bieliznę itp./ Wyzbywałyśmy się chętnie, wiedząc że i tak musimy wszystko zostawić. Szykowałyśmy się do wywózki; mama ususzyła wór sucharów i naszykowała ciepłą odzież. Za każdym razem, kiedy otrzymałyśmy informację, że podstawili na stację specjalne wagony t.zw. "ciepłuszki", czekałyśmy z drzeniem serca, całymi nocami nasłuchując warkotu samochodów jeżdżących po mieście i dowożących Polaków do stacji.

Pewnego dnia, wczesną wiosną otrzymałyśmy informację, że w Włodzimierzu Woł. działa Komisja niemiecko-radziecka, która wymienia Polaków w/g miejsca zamieszkania. Mama zabrała nasze dokumenty potwierdzające nasze pochodzenie z terenów zajętych przez Niemcy, zgarnęła trochę rzeczy w tobołek /żeby było łatwiej nieść/ i wyruszyłyśmy pieszo /podwożone przygodnymi furmankami/ 80 km do Włodzimierza. Przed-tęm mama zakopała w ogrodzie przy domu wszystkie dokumenty i odznaczenia ojca oraz jego fotografie, zamknięte w metalowym pudełku. Pewnie tam leżą do dziś o ile ich ktoś nie wykopał.

Do Komisji były ogromne kolejki, chętnych do wyjazdu było było b. dużo, byli to uciekinierzy z zachodnich ziem polskich i ci, którym groziła wywózka w głąb ZSRR. Znaleziliśmy przytułek u jakichś państwa w ładnej wili, ale było tam zakwaterowanych wiele innych osób i koczowaliśmy na podłodze, a razem z nami o ile mnie pamięć nie myli p.Kańska /właścicielka apteki z Łucka/ wraz z córką Alą. Po kilku dniach stania w kolejce do Komisji zrezygnowane wróciłyśmy do Łucka okropnie zawszone. Niektórzy kolejkowicze wymyślili bowiem sposób na zmniejszenie kolejki, zbierając do pudełek wszy, które wysypywali na innych. Po kilku dniach wymyte i wyczyszczone z wszy spróbowałyśmy jeszcze raz stanąć przed Komisją w Włodzimierzu.

Cierpliwość nasza została ~~została~~ nagrodzona, aczkolwiek Komisja długo się zastanawiała czy nas wypuścić. Odetchnęliśmy z ulgą widząc machnięcie ręką Roskiego i kiwnięcie głową Niemca.

Wsiadliśmy w podstawiony pociąg, gdzie nas szczegółowo jeszcze zrewidowali radzieccy żpłnierze, zabierając resztę cenniejszych rzeczy o ile nie były starannie i przemyślnie ukrytem. Na moście granicznym w Brześciu n/Bugiem nastąpiła przesiadka. Przez most przechodziło się pieszo. Wsiadliśmy z pociągu w Chełmie Lub..Tutaj Niemcy skierowali nas na kwarantannę, która polegała na obcięciu włosów i wspólnej kąpieli z użyciem szarego mydła pod prysznicami, gdy tymczasem nasze rzeczy i ubrania poddane zostały odkażaniu gazem. Po zwrocie cuchnących gazem rzeczy ulokowano nas w pustych pomieszczeniach jakiegoś dużego budynku /chyba szkoły/ na słomie. Dostałysmy też po misce gorącej zupy, a na drugi dzień wyruszyliśmy w dalszą drogę, aby po kilku dniach znaleźć się na łonie rodziny. Zaczął się drugi rozdział naszych ciężkich okupacyjnych przeżyć.

P.S. Zdaję sobie sprawę, że moje wspomnienia z Wołynia nie mogą stanowić dokumentu a ich literackie ujęcie jest bardzo nieporadne, ale myślę że może w minimalnym stopniu przyczynią się do uzupełnienia wiedzy o ciemnych stronach naszej narodowej historii.-

Krystyna Kozak
R a d o m
Piasowska 3ml46

© ARCHIWUM Wschodnie



I/1584/T komlunz

© ARCHIVE TECHNOLOGY